



EDWARD CHMIELEWSKI

Dnia 28 sierpnia 1946 r. w Warszawie p.o. sędziego śledczego, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Halina Wереńko, przesłuchała w charakterze świadka Edwarda Chmielewskiego, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Neuengamme nr 60 067, który po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Edward Chmielewski
Data urodzenia	12 czerwca 1912 r. w Warszawie
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Stan cywilny	żonaty, dwoje dzieci w wieku 7 i 4 lata
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Belgijska 5 m. 20
Zawód	malarz pokojowy
Wykształcenie	szkoła powszechna

26 września 1944 roku zostałem wraz z rodziną wyrzucony z domu przy ul. Belgijskiej przez oddział Niemców, którzy ludność cywilną popędzili na aleję Niepodległości. Tu oddzielono kobiety, które skierowano na Służew, a mężczyzn popędzono na fort mokotowski, potem do Włoch pieszo, a z Włoch pociągiem do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Po dwóch dniach razem z transportem przeszło 2 tys. mężczyzn zostałem odesłany do obozu w Stutthofie. W tym czasie do obozu w Stutthofie przejściowo kierowano transporty warszawiaków, które następnie rozsyłano do innych obozów, względnie komand, tj. drużyn robotniczych.

Nasz transport po odbyciu trzytygodniowej kwarantanny został posegregowany, po czym najzdrowsi, w liczbie około tysiąca mężczyzn, zostali dołączeni do transportu odesłanego do Neuengamme. W ten sposób znalazłem się w obozie w Neuengamme pod Hamburgiem. Po odbyciu sześciodniowej kwarantanny zostałem przydzielony do grupy robotniczej przeznaczonej do kopania rowów przeciwczołgowych, tzw. *Außenkommando* w Aurich. Jak wszystkie komanda terenowe, nasza grupa zależała od *Lagerführera* obozu w Neuengamme. Na czele grupy stał *Kommandoführer* Niemiec, którego nazwiska nie znam. *Außenkommando* mieściło się w czterech blokach ogrodzonych drutami kolczastymi, zaopatrzone w wyłączniki elektryczne wysokiego napięcia. Na sali, gdzie mnie przydzielono, o wymiarach 4 na 4 m, mieściło się sześćdziesięciu więźniów. Spaliśmy na pryzkach trzypiętrowych, o wymiarach 4 na 1,5 m, przy czym na każdej takiej pryzce mieściło się dziesięciu więźniów. Na pryzce leżała słoma, zawszona, każdy z więźniów dostawał jeden koc. Sale nie były opalane.

W trzy tygodnie po [moim] przybyciu do Aurich blokowym na moim bloku został Jerzy Czerwiński, były kierownik łaźni w Stutthofie przystany do Neuengamme za jakiegoś przewinienia, który początkowo w komandzie pracował jak i inni więźniowie. Czerwiński jako blokowy bił i maltretował więźniów. Na przykład w początkach grudnia 1944 roku wydał rozkaz, by więźniowie w ciągu dziesięciu minut rano posprzątaли blok, wypili kawę, pobrali i wydali chleb. Kiedy po upływie tego czasu znalazł na podłodze słomę pochodzącą z którejś pryczy, zapowiedział, iż będziemy ukarani. Istotnie tego dnia wieczorem razem z kapo Niemcem, nazwiska którego nie znam, dał każdemu więźniowi pięć kijów, bijąc kijem od łopaty. Nazajutrz więzień Włoch (nazwiska nie znam) zmarł od pobicia.

Odżywianie było głodowe. Na śniadanie dostawaliśmy bochenek chleba na trzech więźniów, pół kg margaryny na trzydziestu i nie zawsze pół litra kawy. Przeciętnie dwa razy w tygodniu kawy nie było. Obiad i kolację jedliśmy po powrocie z pracy w terenie, więc o zmroku, w postaci litra zupy z brukwi.

Do pracy wyjeżdżaliśmy pociągiem o 7.30, przejeżdżając 18 km, po czym szliśmy pieszo 11 km, pracowaliśmy do 16.00 i znów czekał nas marsz i jazda pociągiem. Często zdarzało się, że więzień osłabiony nie mógł nadążyć w marszu za kolumną. Kapowie wtedy bili. Widziałem dwa wypadki, iż po takim biciu więzień zmarł na miejscu.

Nazwisk ani więźniów, ani kapo nie znam.

Pobitych nieśli do obozu koledzy więźniowie. W ciągu ośmiotygodniowej pracy w komandzie zmarło na miejscu czterystu więźniów. Zostali oni zakopani w okolicy obozu.

Miejsca nie znam, ponieważ grzebaniem zajmowali się specjalnie wyznaczeni więźniowie.

Praca przy kopaniu rowów przeciwczołgowych dookoła Aurich była bardzo ciężka. Kapowie SS-mani i *Vorarbeiterzy* pilnowali, by ani chwili więźniów nie odpoczął, za ustanie w pracy bili bez litości. W dodatku pogoda była okropna, wciąż padał śnieg z deszczem. Drewniane buty obozowe rozpadały się, gdy więźniowie – kąpiąc – stali w wodzie i błocie. W tych warunkach, przy głodzie i biciu miały miejsca masowe zachorowania na flegmonę i odmrożenie nóg. Szybko po rozpoczęciu pracy jeden z bloków komanda zamieniono na szpital, niemający zresztą żadnych środków leczniczych. Po większym napływie chorych, gdy było za ciasno, odwieziono transport chorych do obozu w Neuengamme, do rewiru, to jest szpitala obozowego. Po ukończeniu prac w komandzie zostało tylko czterystu więźniów zdrowych.

Ja zachorowałem 12 grudnia 1944, miałem nogi spuchnięte, palce u nóg były poodmrażane na skutek stania w wodzie w czasie pracy. Skierowano mnie do bloku chorych, gdzie leżałem dziesięć dni, aż do wyjazdu całego komanda do obozu w Neuengamme. Na sali wraz ze mną leżało trzystu chorych. W tym szpitalu ordynowało dwóch lekarzy obcokrajowców: Żyd z Francji i Holender. Nazwisk ich nie znam. Lekarze ci nie mieli żadnych środków leczniczych, a w dodatku chętnie udzielali porad jedynie swoim ziomkom, ignorując inne narodowości zupełnie.

Około 20 grudnia, po zakończeniu robót fortyfikacyjnych, razem z transportem zdrowych czterystu więźniów, do pociągu osobowego załadowano również sześciuset chorych wraz ze mną. Po przybyciu do obozu w Neuengamme 22 grudnia 1944, po kąpielach, zabrał mnie sanitariusz do 3 rewiru. Rewir w obozie mieścił się w czterech blokach, na czele stał lekarz Niemiec, jednak ponieważ nie wolno było swobodnie się poruszać, nie orientuję się ani co do miejsc, ani co do organizacji szpitala, poza 3 blokiem, gdzie przebywałem do marca 1945 roku. W 3 rewirze był lekarz, więzień Jugosłowianin Winko, dobry dla chorych. Leżałem na sali o wymiarach 8 na 4 m, gdzie stało 50 łóżek drewnianych. W okresie większej frekwencji chorych na jednym łóżku leżało po czterech więźniów, przy czym łóżka miały wymiary 2 na 0,70 m. Była to sala chirurgiczna, chorych zakaźnie pomiędzy nami nie było. Opatrunki zakładał lekarz co drugi dzień, używając maści oraz papierowych bandaży. Sale szpitalne nie były opalane. Poza umyciem się rano i pójściem do ubikacji rano i wieczorem,

nie wolno było cały dzień opuszczać łóżka, a chorym, którzy przed wypisaniem z rewiru chodzili, nie wolno było opuszczać sali.

W lutym 1944 roku (daty dokładnie nie pamiętam) na naszą salę przybyli naczelny lekarz Niemiec, dr Winko i sanitariusze. Naczelny lekarz, po przejrzeniu kart chorób, wskazywał na ciężiej chorych, np. na takich, którzy mieli flegmonę na całej ręce czy nodze. Nazajutrz dr Winko kazał dwudziestu wskazanym przez lekarza naczelnego chorym ubrać się i wyjść na korytarz. Sanitariusze opowiadali potem, iż wybrano z całego rewiru 150 ciężko chorych i cały ten transport wywieziono w niewiadomym kierunku. Niemcy podobno mówili, iż transport chorych pojechał do innego szpitala. Nikt z więźniów – o ile wiem – nie spotkał nikogo z wywiezionych.

Po wypisaniu ze szpitala, 16 czy 17 marca 1945, przydzielono mnie do „Szyfkomando” [Schiffskommando?] w Schandelah, gdzie wyrabiano oliwę. Komando liczyło sześciuset więźniów, stosunki były podobne jak w Aurich. W końcu kwietnia zostało ewakuowane do Wöbbelin w Szlezwiku do niewykończonego jeszcze obozu koncentracyjnego, a stąd oswobodziły nas wojska amerykańskie 2 maja 1945. Władze amerykańskie umieściły mnie i innych chorych więźniów w szpitalu, gdzie nas przede wszystkim dobrze odżywiano.

Do kraju wróciłem 3 grudnia 1945 roku.

Obecnie czuję się źle ze zdrowiem, jestem bardzo osłabiony, bezsilny, męczę się łatwo i serce mi dokucza.